

Materiały

ŻOŁNIERZE ARMII KRAJOWEJ W OBOZIE JOGŁA

Do października 1944 r. do więzień i obozów na terytorium Związku Sowieckiego wywożono głównie oficerów, działaczy delegatury oraz osoby uznane za dowódców. Po tym okresie oficerowie zatrzymywani byli pod zarzutem działalności na tyłach frontu, za niezgłoszenie się do wojska lub po prostu za przynależność do AK stawiani byli przed sądami wojennymi Armii Czerwonej (sądzono ich na podstawie sowieckiego wojskowego kodeksu karnego) lub przed wojskowymi sądami polskimi na podstawie dekretów PKWN (głównie o ochronie państwa). Sądy te najczęściej orzekały wówczas najwyższy wymiar kary.

Inaczej postępowano w tym czasie z szeregowymi żołnierzami AK. Po zatrzymaniu i odłączeniu od nich oficerów byli oni przymusowo wcielani do zapasowych jednostek Wojska Polskiego (WP). W ten sposób do wojska trafili żołnierze oddziałów AK śpieszący na pomoc walczącej Warszawie oraz żołnierze plutonów terytorialnych, których składy nieopatrznie ujawnili ich dowódcy przed komendantami Armii Czerwonej lub zostali do tego zmuszeni.

Stosunek do szeregowych żołnierzy AK uległ radykalnej zmianie po powstaniu warszawskim i znanym wystąpieniu na posiedzeniu PKWN kierownika resortu bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza (4 X 1944), wytyczającym twarde bezkompromisowy kurs w stosunku do ludzi związanych z niepodległościowym nurtem polskiej konspiracji¹. Od tego momentu szeregowi żołnierze AK zaczęli być traktowani na równi z oficerami, a więc byli aresztowani, osadzani w więzieniach lub obozach kontrolno-filtracyjnych, a następnie wywożeni do obozów dla internowanych na terenie Związku Sowieckiego.

Deportacje, których charakterystyka zawarta jest w niniejszej publikacji dotyczyły żołnierzy AK, którzy zostali wywiezieni do łagrów NKWD nr 270 w rejon Borowicz, obwód Nowogrodzki, w listopadzie i grudniu 1944 r., a powrócili do Polski na wiosnę 1946 r.²

¹ Archiwum Akt Nowych w Warszawie (AAN), PKWN, 118. Protokół z posiedzenia PKWN z 4 X 1944 r. Podczas tego posiedzenia S. Radkiewicz powiedział: „Można powiedzieć, że figura Mikołajczyka stała się sztandarową figurą polityczną w Polsce, grupującą wrogie nam siły i obozy polityczne (...). Nasza polityka bezpieczeństwa szła przede wszystkim w kierunku zwalczania NSZ jako bardzo ogłędna, bowiem BCH przeżywa proces wewnętrznych wahań politycznych. Zamierzaliśmy tę część AK pociągnąć za sobą. To stanowisko musi ulec zmianie w sprawie oceny AK, które dawaliśmy. To przeciwstawienie wewnętrzne NSZ, piśsudczyzna i BCH, które wchodzi w skład AK – nie potwierdziło życie (...)”.

² Autor korzystał z dokumentacji pochodzącej z archiwów rosyjskich i polskich, *Ksiąg Borowiczan*, cz. I, Gdynia-Sopot, 4-7 VI 1992; cz. II, Sopot-Warszawa-Lublin 1994; cz. III, Sopot 1997; cz. IV, Sopot-Warszawa 1999; cz. V, Borowicze-Wielki Nowogrod-Lublin-Sopot-Warszawa 1944-2004; „Biuletynu

Już w listopadzie 1944 r. zapełnienie aresztów i więzień było tak duże, że musiało konieczność podjęcia dalszych radykalnych rozstrzygnięć. Tym bardziej że wszystko wskazywało na to, iż ilościowy i terytorialny zakres napływu aresztowanych ulegnie zwiększeniu. Przygotowania do transportu poprzedziła intensyfikacja śledztw, klasyfikacja i ostateczna formalność, zatwierdzenie do transportu – oddanie do dyspozycji dalszym ogniom NKWD³.

Sowieci zaczęli „oczyszczać” przepełnione więzienia, areszty i obozy przejściowe i wysyłać w głąb Rosji transporty aresztowanych. Były to grupy liczące 800-1500 osób. Pierwszy z nich wyruszył 8 listopada z białostockiego więzienia do Ostaszkowa. W dniu 13, a następnie 22 listopada odeszły do tego obozu dwa kolejne transporty, również z Białegostoku. Cztery inne skierowano do Jegolska i Szybotowa w rejon Borowicz (12 i 30 XI z Sokołowa Podlaskiego, 18 XI z Lublina i 23 XI z Bakończyc pod Przemyślem). Pod koniec grudnia 1944 r. i na początku stycznia 1945 r. trzy dalsze transporty, z Białegostoku do Skopina oraz z Lublina do Nagornej i Kizła.

Transporty te były złożone głównie z szeregowych i podoficerów polskiego podziemia. Oficerowie stanowili w nich tylko niewielkie grupy. Część z nich deportowanych została jako szeregowi żołnierze, ponieważ nie przyznali się do posiadanych stopni oficerskich.

Więźniowie przewożeni byli w brudnych wagonach towarowych, szczelnie zamkniętych, o zaryglowanych drzwiach, zabitych deskami i okratowanych oknach, w których jedynym wyposażeniem był otwór kloaczny – oto warunki, jakie zapewnione zostały „przestupnikom” spod znaku AK⁴.

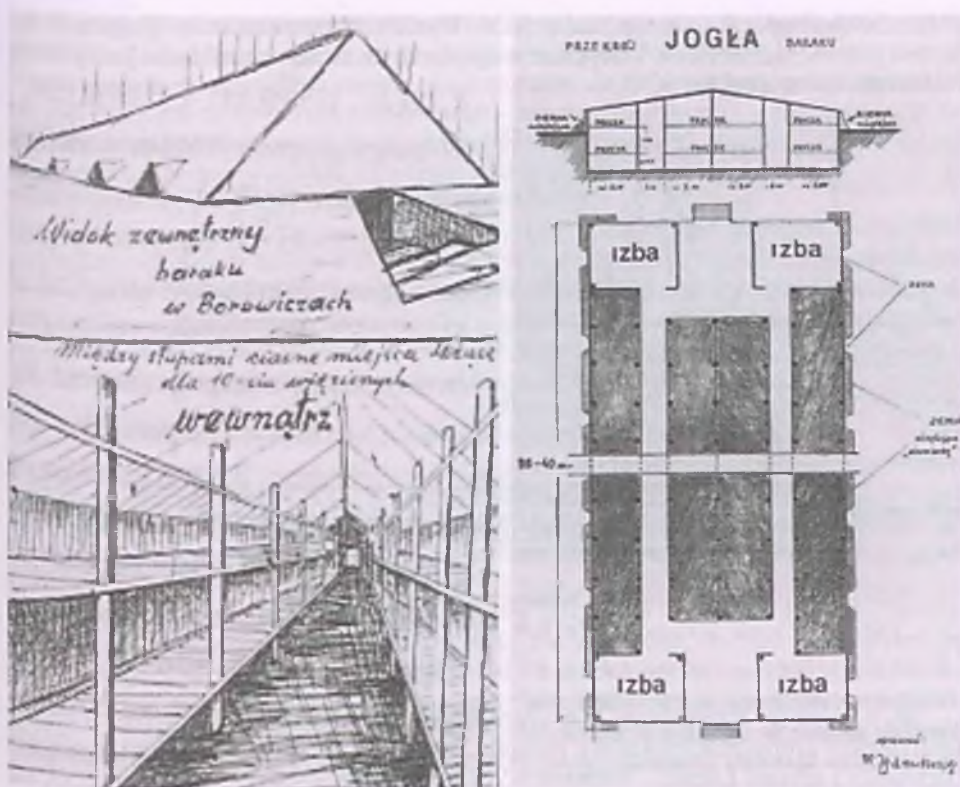
Agresywne zachowanie konwojentów, brak pożywienia, a zwłaszcza wody, wydzielanej w bardzo skąpych ilościach podczas 8 do 12 dni podróży, brak jakiegokolwiek informacji – to fizyczne i psychiczne szykany, które stanowiły zapowiedź tego, czego można będzie się spodziewać w nieznanym docelowym miejscu przeznaczenia. Tym miejscem miał się stać Zespół Łagrów Nr 270 NKWD w rejonie Borowicz.

Obóz zbudowany w latach dwudziestych, zlokalizowany był w pobliżu wsi Jogła, położonej około 12 km na północ od miasta Borowicze (obwód nowgorodzki). Polacy najczęściej nazywali go – Jegolsk, a Niemcy, którzy przebywali w nim od 1943 r. – Sandlager, z racji położenia na piaszczystym wzgórzu. Był to największy obóz jeniecki podległy zarządowi obozów nr 270. Baraki osadzone były w połowie w ziemi, w połowie na powierzchni. Na terenie obozu znajdowało się 17 baraków, w tym 10 mieszkalnych (baraki – ziemianki).

Informacyjnego Środowiska Borowiczan” – wydanie specjalne, nr 10, Sopot-Warszawa 2001, wspomnień spisanych lub nagranych w posiadaniu autora, pamiętników i innych dokumentów udostępnionych przez byłych więźniów Borowicz – żołnierzy Armii Krajowej.

³ Zamek Lubelski, 18 listopada 1944 r. „Każą nam wychodzić z baszty. Ustawiają nas w bocznym, prawym kruzganku. Następuje haniebna scena: przychodzą oficerowie UB w płaszczach, na głowach czapki garnizonowe z ciemnognanatowymi otokami. Oficerowie NKWD – w ładnych, białych półkożuszkach, czapki z denkami niebieskimi i czerwone otoki. Zostajemy ‘przekazani’, właściwie odstąpieni nowym ‘opiekunom’, tym razem spod znaku NKWD. Obstawiają nas – bojcy – młodzi enkawudziści”. *Księga Borowiczan*, t. V, s. 35.

⁴ Wspomnienia tych wydarzeń znajdują się w *Księgach Borowiczan* i w formie spisanych lub nagranych relacji w posiadaniu autora



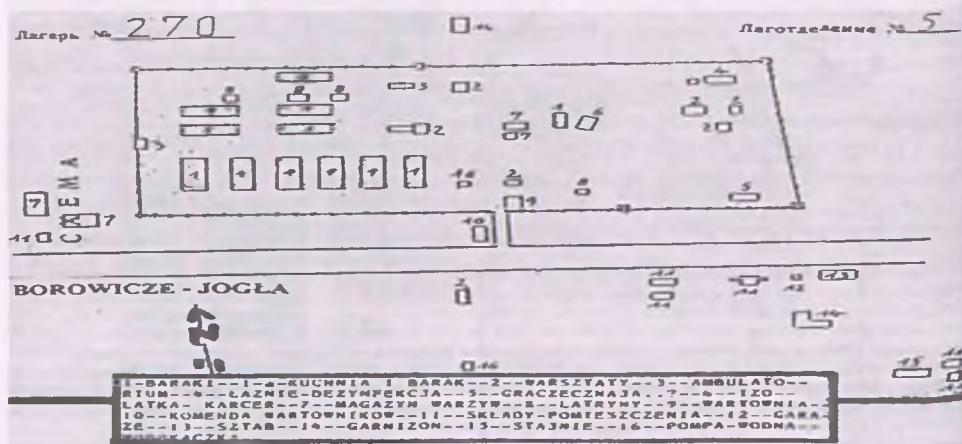
Szkice wyglądu zewnętrznego i wnętrza baraków w Jogle

Źródło: R.W. Bar, *Borowiczan*, Sopot 2004, s. 51-52.

Na wzgórzu, znajdowały się dwa mniejsze baraki, mieszkały w nich kobiety – internowane Polki⁵. Pozostałe baraki to: lazaret z ambulatorium, kuchnia, łazienka, magazyny, warsztaty obozowe, karcer i wartownia. Obóz otaczały dwa rzędy drutu kolczastego. Wzdłuż wewnętrznej strony ogrodzenia przebiegała tzw. zona, której nie można było przekraczać. Komendantura obozu mieściła się na zewnątrz. Komendantem sowieckim Jogły był mjr Baszmałow, po nim Tomkow. W listopadzie i grudniu przywieziono tu trzy transporty żołnierzy AK z terenów Polski wyzwolonych spod okupacji niemieckiej w drugiej połowie 1944 r. Pierwszy z nich został sformowany w Lublinie 18 listopada, liczył około 1000 osób. Dotarł on do obozu 26 listopada. Ponad tysiąc osób przywieziono z Przemyśla 4 grudnia. Większość z przybyłych umieszczono w Jogle, część w Szybatowie. Ostatni transport przybył do Jogły 11 grudnia z Sokołowa Podlaskiego, gdzie został sformowany w nocy z 30 listopada na 1 grudnia 1944 r. Liczył ponad 1000 osób. Łącznie w obozie znalazło się ponad 3000 obywateli

⁵ H. J. Orzechowski, *Wspomnienia z pobytu w obozach dla internowanych w ZSRR*, zeszyt nr 2 (rękopis), s.160. Na temat warunków w łagrach zespołu Borowicze zob. też: *Zur Geschichte der Deutschen Kriegsgefangenen des Zweites Weltkrieges*, 15 vol., München 1965-1967. Oryginały wspomnień znajdują się w Bundesarchiv/ Militärarchiv we Freiburgu Bryzgowijskim.

polskich, choć spotyka się też liczbę 5000. Wynika to zapewne m.in. z ujęcia w tej liczbie jeńców niemieckich, których ze względu na to, że zajmowali tylko jeden barak nie mogło być więcej niż 500⁶.



Schemat obozu Jogła

Źródło: R.W. Bar, *op. cit.*, s. 47.

W większości internowani byli szeregowymi żołnierzami AK z terenu Lublina (największe grupy zamieszkiwały powiaty: radzyński, łukowski, krasnostawski, lubartowski i miasto Lublin), Warszawy-Wschód i Rzeszowa. W obozie znaleźli się także mieszkańcy np. białostockiego i kieleckiego (z miejscowości Nadszań). Wśród zesłańców przebywała w obozie grupa 38 kobiet, przeniesionych w maju 1945 r. z obozu w Szybatowie – mieszkank np. województwa lubelskiego i rzeszowskiego. Mieszkały w baraku nr 10, który był odgradzony drutem kolczastym od reszty obiektu. W obozie przebywało też kilkuset oficerów i podchorążych – w większości grupę tę stanowili rezerwiści. Do połowy 1945 r. mieszkali oni razem z szeregowcami. Dopiero po tym okresie umieszczono ich w oddzielnym baraku. Z chwilą przybycia do obozu Polaków, znajdowali się w nim jeńcy niemieccy. Zamieszkiwali barak nr 1. Pełnili oni wszystkie funkcje obozowe: kucharzy, sanitariuszy, obsługi łaźni, magazynu żywnościowego i odzieżowego. Poza tym Niemcy pełnili także funkcję komendanta wewnętrznego i obozowych propagandzistów. Polacy, od pierwszych dni pobytu w obozie, protestowali przeciwko umieszczeniu Niemców w wyższej hierarchii obozowej. Skutkiem czego zostali oni w większości na początku 1945 r. przeniesieni do innego obozu. Komendantem wewnętrznym, wyznaczonym przez komendaturę sowiecką, został Polak chor. Sławomir Jaworski. Po nim funkcję tę pełnili kolejno: Władysław Płużański, Kazimierz Ważgowski i Waclaw Kaniowski. Także wszystkie funkcje wewnętrzne przejęli Polacy.

⁶ Wykaz ten został opracowany przede wszystkim na podstawie relacji i wspomnień uczestników poszczególnych transportów. Może zawierać nieścisłości i niepełne dane. Nadal nie dokonano pełnego ustalenia liczby polskich zesłańców, jak i ostatecznej sieci obozów NKWD, w których przebywali Polacy. Dotychczasowy stan badań jest niepełny i wymaga udostępnienia dokumentów archiwów rosyjskich.

Z inicjatywy rotmistrza Jana Głaziewicza, występującego w obozie pod nazwiskiem Jan Zawadzki, zawiązała się grupa konspiracyjna. Jej celem było utrzymywanie wśród zesłańców wysokiego morale, niedopuszczenie do psychicznego załamania się jednostek najsłabszych oraz wpływanie – w miarę możliwości – na dobór osób do pełnienia funkcji obozowych. Poza tym grupa rozpoznawała konfidentów obozowych i ostrzegała przed nimi innych. Dokumentowała także warunki egzystencji internowanych poprzez notatki, listy, rysunki.

Zdarzyło się, że z inicjatywy władz obozowych powstała grupa propagandzistów. Była ona bojkotowana przez internowanych. Na jej czele stanął Jan Kiliszczuk. Grupa ta, kolportowała gazetę „Wolna Polska”, wydawaną przez Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Propagandziści wykonywali gazetki obozowe, a nawet wystosowali do prezydenta Bolesława Bieruta pismo, którego kopia znajduje się w Archiwum Środowiska Borowiczan⁷.

Tekst ten jak i inne ukazujące się w „Wolnej Polsce” ostro atakowały obóz londyński i związaną z nim Armią Krajową. Z tejsze gazety internowani dowiadawali się, że wszyscy, którzy uznają rząd londyński są zdrajcami sprawy polskiej⁸.

Zesłańcy zorganizowani byli w plutony, na czele których stali komendanci. Pluton stanowił zarazem brygadę roboczą i liczył zazwyczaj 10, z czasem 50 osób. Również w barakach, mieszczących po około 500 osób, byli wyznaczeni komendanci. Stan osobowy osadzonych sprawdzano dwa razy dziennie, podczas apelu porannego o godz. 6.30 oraz wieczornego o godz. 18.30.

Wyżywienie było niskokaloryczne i niewystarczające ilościowo. Podczas śniadania zesłańców otrzymywał 600 gramów chleba, a w ciągu dnia dodatkowo dwa razy po $\frac{3}{4}$ litra zupy. Natomiast od końca grudnia 1944 r. do połowy lutego 1945 r., chleba nie wydawano w ogóle, zachowano tylko racje zupy. Pracujący w kopalniach dostawali dodatkowe przydziały żywności. Na przełomie stycznia i lutego w obozie działała komisja lekarska, która w zależności od przyznanej kategorii zdrowia dokonywała przydziału internowanych do pracy bądź zalecała przeniesienie do innych obozów. Największą grupę, około 1000 osób, przeniesiono do *Schachtlagru*, do pracy w kopalni węgla kamiennego oraz do *Stadtlagru*, do pracy przy wydobywaniu gliny i produkcji cegieł. W obozie Jogle niektórzy zatrudniono w obozowych warsztatach, jako krawców i szewców. Wysłano też plutonami – brygady robocze do pracy w sowchozach i kołchozach. Wiosną 1945 r. w obozach *Schachtlager* i *Stadtlager* wybuchła epidemia czerwoności. Wkrótce okazało się, że choroba ta dotknęła masowo także inne obozy. Chorych zwożono do obozu w Jegolsku. Wkrótce, po skierowaniu tam wycieńczonych pracą ludzi ze wszystkich obozów zarządu 270, stał się on „ozdorowitelną komandą”. Chorzy stanowili niemal połowę z około 1000 przebywających wówczas w obozie Polaków.

W Jogle, co było precedensem, od czasu do czasu odprawiana była msza święta. Celebrował ją ksiądz katolicki – Niemiec. Naczynia liturgiczne wykonane były ze zwykłych metalowych puszek. Zamiast opłatka ksiądz błogosławił i przeistaczał w ciało Chrystusa chleb obozowy. Nie wiadomo skąd pochodziło wino. Wszystko było prowizoryczne: ołtarz i ubiór księdza. W czasie mszy świętej, barak był pełen wiernych. Nikomu nie przeszkadzało, że ksiądz jest Niemcem. Wygłaszał on krótkie kazanie, które było tłumaczone przez jednego ze współwięźniów na język polski. Atmosfera była nadzwyczaj poważna, pojawiające się łzy na policzkach więźniów nie należały do rzadkości⁹.

⁷ Ksero tego dokumentu znajduje się także w archiwum autora.

⁸ *Księga Borowiczan*, t. V, s. 70.

⁹ H. J. Orzechowski, *op. cit.*, s. 168-169.

Późną wiosną 1945 r. do obozu trafił transport oficerów niemieckich, którzy dostali się do niewoli w kotle kurlandzkim. Po kwarantannie skierowano ich do pracy. W lecie 1945 r., przywieziono transport jeńców węgierskich oraz niewielkie grupy innych narodowości np. Czechów, Norwegów i Holendrów. Odnotowano wówczas około 10 ucieczek obozowych. Były one podejmowane w początkowym okresie internowania. Prawdopodobnie tylko jedna ucieczka zakończyła się powodzeniem – przeprowadzona w lecie 1945 r.

Od czerwca 1945 r. w Jegolsku, jak i w pozostałych obozach zarządu 270, Komisja NKWD przesłuchiwała Polaków. Wyniki przesłuchań były podstawą do podzielenia ich na dwie grupy: zakwalifikowanych do powrotu do kraju lub dalszego pozostania w obozie. Na początku stycznia 1946 r. grupę liczącą około 200 osób (zakwalifikowana do pozostania) odesłano do obozu w Szybatowie. Natomiast pozostałych odesłano do kraju. Pierwszy transport ruszył z Borowicz 26 stycznia 1946 r., stanowili go głównie ludzie schorowani. Drugi transport odprawiono 14 stycznia, a ostatni w połowie lutego 1946 r. Wszystkie trzy transporty były uzupełnione o internowanych w Kowance¹⁰. Łącznie wysłano do ojczyzny przez Brześć 3466 internowanych Polaków. W obozie w styczniu 1946 r. pozostało ich jeszcze 4230, a pod koniec 1946 r. 880.

Wyjeżdżających Polaków, wcześniej „przygotowywano politycznie”. Co pewien czas zbierano wszystkich na dziedzińcu i przemawiał do nich oficer polityczny NKWD. Mówił o Bierucie, Żeromskim i Osóbce-Morawskim. Prelegent uświadamiał wszystkich, „jak to teraz jest dobrze w Polsce”. Mówił, że jest nowy rząd, że panuje klasa robotnicza. Więźniowie odczuwali, że zbliża się termin wyjazdu do kraju¹¹.

W obozie, poza niewielką liczbą kobiet niemieckich, w większości były Polki, przeważnie z wykształcenia nauczycielki. Było kilka kobiet z Kolbuszowej, między innymi siostry Zofia i Maria Gruszkówny, Babkówna i inne. Była też wśród nich młoda dziewczyna z Ranizowa Nusia Pękalska (takim imieniem wszyscy ją określali), która przed aresztowaniem była w ciąży. Jeden z byłych jeńców wspominał:

„Ja w tym czasie pracowałem w pralni obozowej, w której zatrudnionych było 5 Polaków i 5 Niemców. Opiekunki N. Pękalskiej zdawały sobie sprawę, że dziecko urodzone w warunkach obozowych musi zginąć. Zwrócili się do mnie, ażebym zorganizował trochę pieluch, koszul dla przyszłego noworodka. Złożyło się dość szczęśliwie, bo w tym czasie do obozu z frontu fińskiego przywiezione zostały nowe koszule flanelowe. Gabriel Marek umówił się z kolegami i z każdej koszuli wyrwane zostały plecy, a pozostałe części koszul spalone zostały w piecu obozowej pralni. W ten sposób zorganizowane zostało 36 pieluch. Brygadzystą w pralni był wówczas Niemiec Paul, który wiedział o tej akcji, lecz zmuszony był do milczenia, gdyż więźniowie spisali jego kradzież w pralni, za co groziła mu surowa kara. Dziecko bardzo dobrze się rozwijało i 'potajemnie' zostało ochrzczone przez starego proboszcza z białostockiego. Dziecku zostało nadane imię Barbara, które wybrał cały obóz i wszyscy znali dziewczynkę, jako 'Basię obozową'. G. Marek natomiast zostałem Ojcem Chrzestnym, a Matką Chrzestną została Babkówna, nauczycielka z Kolbuszowej. Dokument chrztu został sporządzony na kawałku białej, wilgotnej szmaty, a pisany był chemicznym ołówkiem o następującej treści: 'miało to miejsce w oblasti leningradzkiej we wiosce Jogła, gdzie urodziło się dziecko płci żeńskiej w dniu... i nadano jej imię Barbara – córka N. Pękalskiej. Chrzestnymi byli: Babkówna M. i Marek Gabriel'¹².

¹⁰ I. Caban, *Wykaz (niepełny) transportów do obozów internowanych w latach 1944-1945*, w: *Księga Borowiczan*, Warszawa 1994, s. 112.

¹¹ H. J. Orzechowski, *op. cit.*, s. 172-173.

¹² Relacja G. Marek, ps. „Lis”, ppor. AK, zam. w Jaśle – w posiadaniu autora.

Po wielu latach od czasu deportacji trudno przedstawić ze szczegółami pobyt i nastroje w obozie sowieckim. I nie ma czemu się dziwić. Gromadzenie materiałów w czasach Polski komunistycznej było ryzykownym zajęciem tak dla zawodowego historyka, jak i amatora. Literatura wspomnieniowa opisująca obozy niemieckie i opracowania naukowe są bardzo bogate w źródła, które w wyniku pokonania hitlerowskich Niemiec stały się w szerokim zakresie dostępne. Zupełnie odmiennie do niedawna kształtowała się sytuacja dotycząca obozów sowieckich.

Z tej racji należy po prawie 50 latach odśłaniać karty historii, która odejdzie razem ze śmiercią naocznych świadków i uczestników. Np. jeden z jeńców Józef Kucharski „Tajoj”¹³ dopiero po latach ujawnił swoje przeżycia z pobytu w łagrze. Należał on do grupy represjonowanych Polaków, którzy zostali osadzeni w obozach sowieckich po wejściu wojsk wschodniego sąsiada na ziemię, które należały do II Rzeczypospolitej, jak i te położone na zachód od Sanu i Bugu, na które wkroczyły sowieckie wojska latem 1944 r.

J. Kucharski dotarł do obozu po wielu dniach jazdy pierwszym transportem kolejowym z Lublina. Przybysze byli głodni, a przede wszystkim spragnieni wody do picia. Przy wrzasku konwojentów i ich przekleństw, zaczęto otwierać wagony, w których znajdowało się po kilkudziesięciu więźniów. Po wyjściu kazano wszystkim usiąść na topniejącym śniegu, który jeńcy ssali łapczywie, gasząc w ten sposób pragnienie. Ludność tamtejsza, kiedy szli do obozu, pytała ich, czy nie są Rumunami, z tej racji, że nie myli się przez cały czas podróży, a jechali w wagonach po węglu, który Sowietci przywieźli do Lublina. Dwunastokilometrowa droga zeszła wśród wrzasku i przekleństw konwojentów, którzy w ten sposób starali się przypodobać swoim zwierzchnikom.

Obóz ten miał wielką zaletę – nie było w nim baraków dla więźniów, lecz ziemianki. Oznaczało to, że więźniowie mniej marzli zimą (nie dawano do opalania żadnego drewna, mimo że w zasięgu ręki był wokoło las). Nie przeszkadzało to komendzie obozu organizować 20-kilometrowe wyprawy więźniów po drzewo do lasu. Każdy z uwięzionych po dojeździe na miejsce składowiska drewna brał jeden kawał drewna, by wyrzucić go ze zmęczenia w powrotnej drodze. Tylko nieliczni donieśli drewno do obozu. Było to szykanowanie, które wymyślił komendant obozu Basztrakow i jego sztab, łącznie z Polakożercą st. lejtnantem, którego internowani nazywali „Rybiem Okiem” z racji tej, że miał jedno szklane oko. Szykana ta była najprawdopodobniej odwetem za pierwsze ucieczki, które nastąpiły już w grudniu, w parę tygodni po przyjeździe. Pierwsza ucieczka nastąpiła w 3-4 dni po przyjeździe transportu przemyskiego. Wszyscy uciekinierzy byli z transportu lubelskiego. Braki spostrzegł „Rybie Oko”, który nie mógł się doliczyć 7 osób. W ucieczce wzięli udział: Jarek pseudonim „Brzoza”, zecer w podziemnym piśmie Batalionów Chłopskich w Krasnymstawie, a później partyzant; Niedbała student Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; Konko i Pawlina pseudonim „Gruz”, obaj partyzanci z oddziału „Milera” kpt. Witkowskiego (z rejonu Radzyń Podlaski); Adach nauczyciel spod Lublina i jeszcze dwóch nieznanymi żołnierzy AK. Konko, który wraz z pozostałymi kolegami został schwytany, powrócił do Polski dopiero z końcem 1954 r.

Jeszcze trwały dyskusje na temat tej ucieczki, a przed bramą obozu po południu 11 grudnia stanął następny transport. Był to drugi transport z Sokołowa Podlaskiego, a ostatni skierowany do „uprawlenia” Borowicze w 1944 r.

Pierwszy lubelski transport miał już w chwili przybycia kolegów z drugiego transportu sokołowskiego sporo doświadczeń, zebranych w ciągu tygodni bytowania

¹³ Relacja J. Kucharskiego, ps. „Tajoj”, szer. AK, zam. w Sopocie – w posiadaniu autora.

w tych nieludzkich warunkach. Wiedzieli, że w barakach śpi się na gołych deskach, w butach i odzieży, gdyż Sowieci nie dali nawet sienników ze słomą. Taki stan rzeczy panował we wszystkich barakach, poza barakiem nr 1, w którym w owym czasie mieszkali funkcyjni Niemcy–jeńcy, stanowiący elitę obozową. Po wyjściu z obozu ostatnich Niemców, barak ten został zamieniony na „szpital”. Dla późniejszych przybyszy były już sienniki ze słomą, ale brakowało kocy do przykrycia. Wkrótce wszyscy poznali również menu, jakie przyrządzała „kuchnia jegolska”, w której panoszył się zniemczony Litwin Schlitzkus z Tylży. Danie poranne co najmniej przez 2 tygodnie stanowiły niezbyt opłukane obierzyny kartoflane pływające w letniej wodzie. W pierwszych dniach ciężko było się przemóc jeńcom, by zjeść tę poranną „zupę”. Ale po kilku dniach głód, który towarzyszył od momentu transportu do powrotu do Kraju powodował, że – jak opowiadał J. Kucharski – zamykało się oczy, zatykało nos i jadło tę okropną „salamachę” oraz na obiad podobną do niej zupę z liści kapuścianych, pomieszanych z brukwią. W 1945 r. te „poranne pomyje” zostały zastąpione rozgotowanym, choć nieokraszonym żadnym tłuszczem, owsem lub pszenicą, co powitano jako wyraźną poprawę kuchni obozowej. Po nadejściu transportu sokołowskiego pogorszyły się warunki wyżywienia. Zamiast trzech zup dziennie jeńcy otrzymywali dwa razy po ½ litra na śniadanie i kolację i 1 litr na obiad. Do czasu odejścia pierwszych transportów do *Schachtlagru* w Borowiczach 2 razy dziennie po ¾ litra zupy zamiast 2 razy po ½, a na obiad 1 litr.

Podstawę obozowego wyżywienia stanowiło 600 g chleba, który internowani otrzymywali przy porannej zupie i 2 kostki cukru. Zdaniem J. Kucharskiego „chleb był bez mała surowy, często niedopieczony, kwaśny i zakalcowaty. Był wręcz wodnisty, ale smakował nam, jak żaden chleb przed i potem w ich życiu. Jedliśmy go wolno żując, ale mimo wielokrotnych postanowień, wręcz uroczystych przyrzeczeń, zjadaliśmy go przy porannej zupie. Nie starczało siły woli, by go zachować do południowej zupy. Zamiast sztućców otrzymywaliśmy drewniane łyżki – bardzo wielkie. Przyczyniały się one do zbyt szybkiego ujrzenia dna, co oznaczało zakończenie uczty”. Naczyniami do zupy były puszki po konserwach amerykańskich, które opróżniał sowiecki sztab obozu.

Głód i wszy stanowiły dwie najgorsze plagi oprócz pluskiew, których nic nie było w stanie zniszczyć. Pluskwy ukryły się bardzo sprytnie w szczelinach starej ziemianki, by potem jeszcze z większą pasją gryźć więźniów, będących w stanie wyczerpania fizycznego.

Do połowy lutego 1945 r. nic się szczególnego nie działo. Druga ucieczka, która miała miejsce tuż przed poprzednimi świętami Bożego Narodzenia skończyła się niepowodzeniem. Mimo zastosowania wszelkiej ostrożności i unikania ludności przez pierwsze 100 km, uciekinierzy zostali ujęci. Ludność była tak dalece sterroryzowana, że po zauważeniu obcych natychmiast donosiła milicji, co ułatwiało pościg. W dzień Wigilii zrobiono uciekinierom na mrozie – co najmniej 20-stopniowym – wielogodzinną „powierkę”. „Rybie Oko” trzymał wszystkich przed barakami, by po paru godzinach przed frontem internowanych przeprowadzić schwytyanych. Jeden z nich Stanisław Dębski miał zupełnie gołą piętę, a but w stanie pełnego rozpadu. Wszystkich uciekinierów wsadzono do „bunkra”. Tak nazywano norę wykopaną w gliniastej górze nieopodal wartowni. Po tej znowu nieudanej próbie nastąpiła przerwa w ucieczkach. Zaczęły się one od nowa z nastaniem wiosny. Schwytyanych uciekinierów Sowieci karali „bunkrem” i nie pozwalali wychodzić na roboty za strefę obozową. Z upływem czasu ten reżim złagodniał i uciekinierzy chodzili też do pracy za druty.

W połowie stycznia 1945 r. po porannym apelu wywołano z szeregu więźnia Olechowskiego, który był aresztowany w kotle w Lublinie na Starym Mieście. Kazali mu

zabrać rzeczy i pójść na wartownię, skąd wkrótce wyruszył w dalszą drogę. Udał się w towarzystwie konwojenta w stronę Borowicz.

Współwięźniowie wówczas sądzili, że zabrano go na śledztwo. Po powrocie okazało się, że został zwolniony i wrócił do kraju, co stwierdzili jego koledzy z kotła, do którego wszyscy wpadli (Bieniaszkiewicz, Gogoliński). Wydaje się, że był to jedyny wypadek zwolnienia z obozu. Tadeusz Olechowski sprawował później różne ważne funkcje państwowe w latach 70. i 80. Był wielokrotnie ambasadorem Polski na zachodzie, ministrem handlu zagranicznego i spraw zagranicznych. Jego zwolnienie z obozu wymagało niewątpliwie dużej protekcji.

W tym okresie postrachem internowanych żołnierzy AK, a także sowieckich funkcjonariuszy był st. lejtant Aleksandrow. Był to członek NKWD i do tego oficer polityczny obozu. Niejeden z uwięzionych, który wpadł mu w oko, znalazł się w bunkrze. Rolą jego było przede wszystkim organizowanie siatki donosicieli, co mu jednak i na szczęście nie przychodziło łatwo. Pod jego „ostrzałem” przez pewien okres byli dwaj oficerowie funkcyjni, pierwsi polscy komendanci obozu Jaworski i Płużański. Obu ich z tych funkcji usunął.

W drugiej dekadzie lutego nadeszły wieści, że komisja lekarska będzie badać sprawność fizyczną (sowiecka lekarka kazała spuścić spodnie i oglądała pośladki delikwenta). Internowani żołnierze sądzili, że będą szli do wojska. Hasło takie rzucili Sowieci. Zostało ono podchwyczone przez więźniów, którzy ochoczo stanęli na tę komisję. Sceptycy, znający Sowieców, wietrzyli w tym podstęp i ci mieli rację. Ci, którzy się zgłosili zamiast do wojska poszli do obozów: szachtowego i miejskiego. Wrócili zupełnie wyniszczeni już w końcu kwietnia 1945 r. Zwożono ich samochodami ciężarowymi, z których trzeba było ich zdejmować, bowiem o własnych siłach nie byli w stanie utrzymać się na nogach. W tym czasie członkowie brygady Pedańskiego, który od początku obozu był brygadierem „grabarzy”, mieli sporo zajęcia. Cmentarz na wzgórku koło cerkwi rósł w oczach.

Obóz po transportach do obozów szachtowego i miejskiego oraz odejściu Niemców, którzy przekazali funkcyjne stanowiska Polakom, opustoszał. Wydarzeniem w owym czasie było przyjęcie do Jogły kobiet z obozu Szybatowie. Było ich 38. Zostały ulokowane w baraku na górcie, który był otoczony drutami. Początkowo kontakty z kobietami ograniczały się do spotkań w kuchni, kiedy jeńcy pobierali żywność. Potem reżim złagodniał. Pojawiła się w obozie gazeta wydawana przez Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Pismo to opluwało wszystko, co polskie. Redagowali je zdrajcy narodu. Jednak z podtekstów można było się zorientować, że w kraju panuje terror NKWD, wspierany przez UB. Także stąd przyszła informacja o procesie 16 działaczy Polskiej Podziemnej. Takie wiadomości komenda obozu szerzyła także przy pomocy tak zwanych propagandzistów, którymi byli Polacy współpracujący z Sowiecami, nieliczni ci, którzy w ten sposób starali się poprawić swoją nędzną egzystencję. Szczególną postacią był Jan Kiliszczuk, ideowy komunista jeszcze z lat rewolucji październikowej, który mimo doświadczeń z okresu stalinizmu (siedział na zesłaniu w Kołtasie 5 lat, w latach 30.), pełnił też funkcję w bezpiece po wejściu w lecie 1944 r. Sowieców na Lubelszczyznę. Za ludzki stosunek do więźniów został przez NKWD aresztowany i wywieziony. Okazał się w obozie przyzwoitym człowiekiem, niemniej ciągle jeszcze wierzącym w posłannictwo „religii marksistowskiej”.

W końcu maja Sowieci przyprowadzili do obozu oficerów niemieckich, wziętych do niewoli w kotle kurlandzkim. Nie chcieli oni chodzić do roboty za druty. Sowieci po prostu zmniejszyli im racje żywności i tym sposobem szybko dumni i niezłomni oficerowie niemieccy poszli do pracy. Było to oczywiście wbrew wszelkim konwencjom o jeńcach

wojennych. Po niedługim pobycie skierowano ich do odbudowy Nowgorodu, gdzie pracowali również jeńcy węgierscy, którzy krótko byli także w obozie Jogła.

W lecie obóz składał się w przeważającej części z ozdrowieńców, którzy powoli przychodzili do siebie. Poprawiło się jedzenie, szczególnie dla chorych, którym od czasu do czasu dawano odrobinę tłuszczu, głównie margarynę amerykańską. Polscy obozowi: Dzieciołowski, Frydryczowicz, Pastwa czynili wszystko, by uratować jak najwięcej ludzi, nie dysponując praktycznie żadnymi lekami.

Zdrowi, którzy nie przeszli przez szachtę, chodzili do prac polowych w bliskim sowchozie, gdzie spalowali drewno. Spław drewna miał tę zaletę, że wywożono ludzi w górę rzeki. Dostawali tam suchy prowiant, gotowali sobie sami. Tym samym nie byli okradani przez Sowietów i kucharzy, a ponadto można było podkraść w polu kartofle, co czyniło w efekcie gotowaną zupełnie gęstszą (gotował ją żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji AK inż. Leśnik S. Charczun, był doskonałym w tamtych warunkach kucharzem). Strażnicy, a było ich 2, zamiast pilnować pracujących jeńców, uganiali się raczej za okolicznymi niewiastami, dodatkowym jedzeniem i wódką, co z kolei dawało internowanym trochę swobody.

Wczesną jesienią przyjechali do obozu oficerowie śledczy NKWD i zaczęły się przesłuchiwania. Nie wywierali specjalnego nacisku na przesłuchiwanym, raczej chodziło im o potwierdzenie zeznań, które złożyli w kraju. W tym kraju nędzy i bałaganu jedyny porządek był właśnie w tych aktach. Protokoły podpisane przez uwięzionych w kraju leżały teraz przed nimi wyjęte z szarych kopert, na których widniały ich nazwiska wypisane cyrylicą.

Nieco inaczej natomiast wyglądała sprawa z depozytami jeńców. Przed wyjazdem z Lublina już na Nowym Świecie, przed pójściem do łaźni, w której ogolono wszystkich do gołej skóry, poznali po raz pierwszy znaczenie słowa „prowierka”. Ograbiono ich wówczas ze wszystkiego, łącznie z paskami do spodni i sznurowadłami. Oficerowie NKWD grabili zegarki, obrączki, pióra... Podkomendne młode dziewczyny w mundurach wystawiały każdemu pokwitowania, w których między innymi określały wyroby ze złota (obraczki, zegarki), jako „żółtyj metal”. Słowo złoto nie występowało w tym pokwitowaniu. Kiedy zbliżał się czas wyjazdu z obozu do Polski, parę dni przed tym dniem komendant obozu Tomakow (bardzo nieprzychylny internowanym, znacznie gorszy od swego poprzednika Baszmakowa) zrobił zbiórkę Polaków przeznaczonych do transportu 14 lutego 1946 r. do Polski. Asystował mu dyżurny oficer, mający w ręku z 20 szarych kopert, w których były wszystkie depozyty. Na zbiórce było łącznie około 500 osób. Oficer dyżurny odczytywał nazwisko z koperty. Więzień występował z szeregu i odbierał kopertę, w której – jak później w baraku można było sprawdzić – były wszystkie odebrane przedmioty przed wyjazdem z kraju. Taka ceremonia powtórzyła się około 20 razy, a potem dyżurny oficer zapytał gromkim głosem *Wsie, wsio pouczyli?*, na co otrzymał również gromką odpowiedź *Tak toczno gospodin lejtnant*. W ten oto sposób władza sowiecka prezentowała swoją „wiarygodność i prawość” przed frontem więźniów.

Na przełomie lata i jesieni 1945 r. zaczęły się przewalać masy jeńców wojennych. Obóz na swój sposób stawał się międzynarodowym. Zaczęła chodzić po obozie wieść, że jako pierwsi będą wracać do kraju *Volksdeutsche*. Nagle wśród Niemców-jeńców dało się zauważyć u wielu na rękawach barwy kraju, który uprzednio zdradzili. Byli znów: Czechami, Holendrami, Francuzami, Polakami ..., ale w tym momencie brali rozbrat z niemieckością. Cena była wielka: zmiana bandery oznaczała w wielu przypadkach uratowanie życia. Było sporo jeńców, którzy zadeklarowali się jako Polacy. Niektórzy jeńcy skorzystali z ich pomocy dając adresy rodzin, prosząc o powiadomie-

nie bliskich. Jak później można było sprawdzić, w niektórych przypadkach zostało to spełnione.

Taka pomoc była bardzo istotna, bowiem Sowieci odcieśli internowanych hermetycznie od świata, nie dopuszczając żadnej korespondencji, a próby jej wysłania kończyły się niepowodzeniem. Położone w sąsiedztwie obozów urzędy pocztowe miały nakaz, by wszelką korespondencję adresowaną do Polski dostarczać władzom obozowym. W takiej sytuacji wysyłający, jeśli go rozszyfrowano, trafiał do bunkra.

Fakt wyjazdu *Volksdeutschów* do domu wpłynął bardzo negatywnie na nastroje uwięzionych. Potwierdziło się w sposób jednoznaczny, że Polacy są w oczach Sowieców gorsi od tych, którzy walcząc pod niemieckimi sztandarami popełnili w stosunku do nich tyle zbrodni. Władze NKWD dawały temu jednoznaczny wyraz. Niemcy przez długi czas byli w Jogle funkcyjnymi. Próbowali przy poparciu Sowietów podporządkować sobie Polaków, np. strażnicy usiłowali posyłać do roboty pod nadzorem Niemców. Tylko na skutek jednoznacznego oporu (odmowa pójścia do pracy), czy starć z Niemcami zaniechano tego. Nie były to z pewnością indywidualne wymysły poszczególnych NKW-dzistów, lecz ogólnie stosowana polityka władz sowieckich wysokiego szczebla.

Tymczasem życie w polskiej społeczności toczyło się dalej. Ksiądz Kornilak odprawił Mszę Św. co niedzielę na tyłach baraku nr 6. Należy sądzić, że Sowieci wiedzieli o tym. W każdym razie nie wystąpili otwarcie przeciwko temu. Być może ksiądz dlatego nie wrócił w 1946 r. do Polski, tylko pojechał w grupie 850 kolegów na dalszą poniewierkę do Swierdłowska, by wrócić dopiero w końcu 1947 r. W tym czasie odszedł ponownie transport około 400 osób z Jogle do obozów szachtowego i miejskiego. Niektórzy AK-owcy szli tam po raz drugi. Warunki, jak wspominali później, były nieco lepsze niż wiosną 1945 r., kiedy Sowieci dopuścili do tak wielkiej śmiertelności, a właściwie, którą spowodowali tragicznymi warunkami, jakie stworzyli w tych dwóch obozach.

Przedwyjazdowy nastrój, który panował już od późnej jesieni i wzmógł się po odejściu transportów *Volksdeutschów*, których wiarygodność potwierdzali konwojenci, chwalcący się podróżą na Zachód, został mocno przygaszony przez fakt rozdzielania internowanych na dwie grupy. Przed odejściem pierwszego transportu chorych do kraju, którym wracała również część kobiet, Sowieci w czasie apelu wywoływali nazwiska niektórych osób, kazali im iść po rzeczy do swego baraku w asyście konwojenta i następnie prowadzili ich do baraku nr 7. Barak ten był pilnie strzeżony przez strażników i po zakończeniu tej „prowierki” zgromadzonych jeńców z baraku nr 7 pod silnym konwojem poprowadzono do Szybatowa. Nie oznaczało to nic dobrego. Okazało się, że ci odseparowani, pojechali w końcu czerwca 1946 r. wraz z grupą kobiet z Szybatowa do Swierdłowska i wrócili do kraju dopiero w końcu 1947 r.

Po transporcie chorych do Polski 26 stycznia 1946 r. odszedł drugi transport do Białej Podlaskiej 14 lutego 1946 r., a po nim trzeci, w którym była część chorych. Transport ten przybył do Białej Podlaskiej 16 marca 1946 r.

Po przybyciu do kraju sowiecki oficer przekazał wszystkich majorowi SB, który 28 lutego 1946 r. stojąc na peronie dworca w Białej Podlaskiej wygłosił krótkie przemówienie z pozycji siły i o charakterze propagandowym. Zalecał wrócić do własnego nazwiska, jeśli było się w obozie pod przybranym, nakazał zgłosić się do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białej Podlaskiej, gdzie zrobiono każdemu zdjęcie i wypełniono specjalne ankiety, które później pieczętowanie były przechowywane na Rakowieckiej. Niektórym internowanym, którzy potracili dokumenty wystawione przez SB w Białej Podlaskiej, fotokopie tych ankiet służą dzisiaj jako dowód, że byli represjonowani przez Sowieców. Po zmianie władzy w 1989 r., służby

na Rakowieckiej bardzo chętnie na życzenie zainteresowanych przesyłają te ankiety w postaci odbitek ksero.

J. Kucharski przywołuje także opis Stefana Drylla, który przebywał w niewoli sowieckiej w 1920 r. Był jeńcem obozu w Borowiczach, który wówczas mieścił się w koszarach wojskowych. Skarżył się, że podczas transportu „na 398 ludzi w czasie postoju w Moskwie dali 3 kotły pęczaku ze śledziami”. Im dano w Brześciu nad Bugiem spleśniałe suchary i „kpiptak”. S. Dryll, opisywał że ludność Borowicz dożywiała ich jako jeńców wojennych. Chodzili swobodnie do miasta, odwiedzając i żywiąc się u przychylnych im Rosjan. Powyższe dwa opisy dają możliwość uzmysłowienia sobie, jak wielki „postęp” uczyniło państwo bolszewickie w ciemieniu ludzi na przestrzeni dwudziestu kilku lat.

Szczególnie dramatycznym przeżyciem była wigilia 24 grudnia 1944 r.¹⁴ Apel odbywał się jak zwykle każdego dnia. Mróz tego dnia był straszny. Wszyscy stali na zbiorce przed barakami-ziemiankami. Nie wolno było rozchodzić się, dopóki nie odbędzie się liczenie. Apel przedłużał się, bo sprawdzanie ilościowe odbywało się w całym obozie, a przeprowadzała to tylko jedna komisja. Sowietci informowali, że ten apel jest połączony z przeprowadzaniem rewizji w ziemiankach, mającej na celu wykrycie broni i innych materiałów wojskowych, ponieważ takie wiadomości dotarły do komendantury obozu.

Internowani marzli coraz bardziej. Oczy zamarały, niektórzy już nie mogli poruszać się, a apel ciągle trwał. Wreszcie o zmroku był koniec perfidnej zabawy, jaką im urządzono w Wigilię Bożego Narodzenia. Wszyscy, bez wyjątku, uznali takie postępowanie władz obozowych za celowe, jako sadyzm i profanację ich uczuć religijnych.

A jednak i takie szykany nie załamały ich. Co zdrowsi i silniejsi, zgodnie z tradycją przygotowali uroczystości wigilijne. Co prawda nie było na terenie obozu ani w jego pobliżu lasu, nie było żadnych drzew. Pomysłowość Polaków nie zna granic. Obozowicze z każdego piętra ziemianki urządzali sobie choinkę, a zrobiona była z draczków pochodzących z desek, którymi obita była obozowa latryna. Draczkki te połączone były ze sobą w ten sposób, że imitowały drzewko.

Obozowe ziemianki nie miały żadnego oświetlenia, stąd też każdego wieczora, w czasie kolacji – rozlewanie zupy – odbywało się przy zapalonych draczkach. Tym razem wigilijne uroczystości rozpoczęły się od zapalenia „choinki”, po czym wszyscy rozpoczęli składać sobie życzenia, dzieląc się zamiast opłatkiem – kruszynkami chleba, pozostawionymi od rana na ten cel. Rozległy się śpiewy kolęd, przeplatane szlochami, westchnieniami, a nawet jękami z bólu tych, którzy zaczęli odczuwać skutki wigilijnego apelu. A były one prawie dla wszystkich bardzo dotkliwe.

Przestawiając stan higieny obozowej B. Kić określił żartobliwie, że nudę obozową „rozweselały” wszy¹⁵. Faktem jest, że bardzo często nikt się nie mył, brak było wody. Do kuchni co prawda dowożono beczkami wodę z pobliskiej rzeki, ale nie dostarczano jej do mycia dla więźniów. Początkowo internowani próbowali używać śniegu, którego było pod dostatkiem. Jednak wobec niskich temperatur, braku ciepła rąk, śnieg nie rozpuszczał się, a próby użycia go do mycia kończyły się kaleczeniem twarzy. Jak relacjonuje B. Kić, „o zmianie bielizny również nie było mowy i z całą odpowiedzialnością oświadcza, że bieliznę, którą włożył w domu nie zmieniał przez cały czas pobytu w obozach, ani nie prał jej, bo nie było ku temu warunków. Już później insekty niechętnie w niej gnieździły się, bo była przepocona i z brudu sztywna, jak po ukroch-

¹⁴ Relacja B. Kicia „Grochowiak”, sierż. pchor., AK, zam. w Sadownem – w posiadaniu autora.

¹⁵ *Ibidem*.

maleniu”. Znacznie chętniej robactwo gnieździło się w owłosionych częściach ciała – przez cały czas pobytu w Jogle nikt nie golił się, nie obcinał włosów – ulubionym miejscem były ubrania. „Polowania” na robactwo niewiele przynosiło ulgi, ponieważ z jednej strony nie wszyscy je tępili, a z drugiej, nie było ku temu warunków. Dwa niewielkie okienka w szczytach ziemianki dawały bardzo mało światła, a przy dużej ilości chętnych do „polowania” nie wystarczało miejsca przy okienkach. Wszy tak się rozproszyły, że można je było znaleźć wszędzie, nie tylko w bieliźnie, w ubraniach, ale we włosach, brwiach, w zaroście. Z ubrania, a szczególnie ze szwów więźniowie zgarbiali je na ziemię i deptali butami.

Drugą zmorą były pluskwy. Było ich tak dużo, że jeżeli na noc zostawiło się puszkę po konserwie, służącą za menażkę i nie odwróciło się do góry denkiem, to rano połowę puszkę wypełniały te stworzenia. Podświadomie internowani często rozgniatali pluskwy, w wyniku czego umazani byli krwią. Taki stan trwał przez cały czas pobytu w obozie w Jogle. Zmiany nastąpiły po przeniesieniu AK-owców do obozu w Borowiczach. Tam, raz w tygodniu, chodzili do łaźni i tam też w piecach o wysokiej temperaturze ulegały zagładzie insekty¹⁶.

Na temat wyżywienia B. Kić dodaje, że w pobliżu szybu kiedyś były sadzone ziemniaki. Po wyjściu z podziemia niekiedy udawało im się, w skryciu przed NKWD-zistami, wygrzebać jeden, dwa kartofle. Był to wielki rarytas, ponieważ taki szczęśliwiec po powrocie do obozu zabierał się do organizowania sobie uczty. Polegała ona na tym, że ucierał ziemniak na tarce zrobionej z denka puszkę po konserwach wprost do gorącej zupy, która jak zawsze była „lurą”. Ten zabieg powodował, że zupa gęstniała, trzeba już było jeść łopatką.

NKWD-ziści – młodzi ludzie, byli bardzo źle ustosunkowani do więźniów, nie więc dziwnego, że nigdy nie pozwolili im grzebać w kartoflisku. Nagle, jednego dnia pozorowali, że nie zwracają uwagi na pracujących, umożliwiając poszukiwanie ziemniaków. Zadowoleni więźniowie wracają do obozu, licząc na „uczte ziemniaczaną”. Do bramy obozowej zaczęli wchodzić wąskim wąwozem. Zdziwili się bardzo widząc przed bramą na obwałowaniach wąwozu kilkunastu młodych strażników. Zatrzymano brygadę z dala od bramy wejściowej do obozu. Wszyscy funkcjonariusze, jak szarańcza rzucili się na kolumnę więźniów dokonując rewizji. Wielu zdążyło wyrzucić kartofle z kieszeni, względnie z nogawek spodni – tam też szukano. Jeśli znaleziono je, kazano jeść surowe nie zważając, że są brudne¹⁷.

W Jogle, pomimo głodu i poniewierki, podejmowano także próby zadbania o stronę kulturalną, na tyle na ile pozwalała na to obozowa komendantura.

W większości publikacji na temat życia więźniów AK w karnych obozach koncentracyjnych w Rosji, wspomnienia i opisy dotyczą raczej fizycznej strony tego życia, tj. ponadludzkiej pracy narzuconej przez okupanta. Na ogół zbyt mało mówi się o innych stronach życia społecznego i umysłowego, dotyczących twórczości i oświaty, mechanizmu tworzenia się w obozie rozmaitych agencji oraz przemysłu i handlu.

Jeden z jeńców Marian Antosz „Wodnik”, „Skóra” podzielił się ciekawym wspomnieniem¹⁸. Rzecz dotyczy sprawy oświaty w obozie Jogle, w którym wielu więźniów AK było pochodzenia wiejskiego. M. Antosz z zawodu i zamiłowania inżynier chemik, w swoim życiu był już asystentem w Katedrze Chemii Rolniczej w Politechnice Lwowskiej (Dublany), a także pracował w różnych instytucjach przemysłu spożywczego, jak

¹⁶ *Ibidem*.

¹⁷ *Ibidem*.

¹⁸ Wspomnienie M. Antosza, ps. „Wodnik, Skóra”, ppor. AK, zam. w Sopocie – w posiadaniu autora.

mleczarstwo (kierownictwo Zakładu Badania Masła Eksportowego w Krakowie), gorzelnictwo w roli instruktora tzw. Naukowej Organizacji Gorzelnictwa (N.O.G.) we Lwowie, cukrownictwo na stanowisku chemika w kampaniach w cukrowniach w Chełmży i w Horodance. W obozie wraz z obozową koleżanką Celiną Kuczkowską podjął się akcji oświatowej wśród zainteresowanych współwięźniów. Początkowo miała ona raczej sporadyczny charakter, lecz w miarę jej rozwoju obejmowała coraz więcej osób. Ostatecznie jednak tego rodzaju działanie zostało zakazane przez władze obozu.

Należy wspomnieć też o specjalnej grupie roboczej nazwanej przez internowanych żołnierzy „Podnos Wody”. O jej działalności pozostawił wspomnienia Stanisława Łukasik ps. „Jurek”. Aresztowany został 10 listopada 1944 r. w rodzinnych stronach na ziemi lubelskiej, podobnie jak inni, za przynależność do AK¹⁹.

Kiedy przybyły transporty, pierwszy z Lublina, po tygodniu z Przemysła, a w następnym tygodniu z Sokołowa Podlaskiego, po odbyciu tzw. kwarantanny zrobiono przegrupowania. Utworzono stałe grupy robocze, które umieszczono w baraku nr 2. Grupy organizowano na powietrzu przed barakami, ustawiając więźniów w dwójki i trójki.

S. Łukasik zapisał się do grupy szewców, podając 2 lata praktyki, ale w rzeczywistości nie miał styczności z tym zawodem. Odpadł z grupy szewskiej, ponieważ sierżant Fiodorow odrzucił go ze względu na zbyt krótki staż pracy. Inni podawali 10 lub 20 lat pracy (byli także starsi wiekiem). W tym czasie utworzone zostały grupy: krawców, cieśli, drwali, stolarzy oraz takie, które chodziły do kołchozów i sowchozów.

Grupa „Podnos Wody” została zorganizowana w pierwszym plutonie Kazimierza Łapińskiego i liczyła piętnaście osób. Członkowie grupy wychodzili codziennie rano po śniadaniu pod konwojem do pracy na zewnątrz obozu. Brygadzystą był Marian Pedański, który pochodził ze Lwowa. Droga do pracy wiodła pod garnizon, który był za cerkwią i rosyjskim cmentarzem. Stał tam wóz niemiecki konny, krótki, na wysokich kołach, na którym umieszczone były dwie dębowe beczki o pojemności 150-200 litrów każda. Wozem tym wozili wodę, pchając go do rzeki drogą polną, która była za garnizonem i prowadziła ukośnie do głębokiego koryta rzeki. By napęłnić beczki drewnianym kubłem, zawracali wozem przy lustrze wody. Po napęłnieniu beczek wracali tą samą drogą w górę. Ich praca polegała na kierowaniu dyszlem, by koła szły koleinami, co zmniejszało ich opór i ułatwiało transport. Pierwszy kurs wozili zawsze do garnizonu dla kuchni oficerskiej NKWD. W tym czasie jedni nosili wodę, a drudzy mieli chwilę odpoczynku. Przy ścianie tego budynku na zewnątrz była tzw. scena i wisiała tam duża mapa środkowej i północnej Europy. Polska była na środku tej mapy. Jak linia frontu była na Wiśle i biegła na północ i południe od Polski, to było zaznaczone czerwonym sznurkiem umocowanym na szpilkach. Internowani podchodzili do mapy patrzeć, jak przebiega linia frontu, lecz konwojent nie pozwalał mówiąc, że tam nie należy podchodzić. Każdego dnia był z nimi inny konwojent, więc podchodzili popatrzeć na mapę, niby to rozgrzewając się. Pewnego dnia nabierając wodę z rzeki więźniowie zauważyli za rzeką białe zabudowania z czerwonymi dachami, wyglądem przypominające folwark. Zaciekawieni pytali konwojenta kto tam mieszka, ale nie uzyskali odpowiedzi.

Drugie beczki wody każdego dnia wieźli do strażnicy na zapleczu obozu, gdzie mieściła się kuchnia i siedziba obsługi obozu. Obok wejścia, które było ze szczytu budynku, wisiał portret Stalina z napisem po rosyjsku oraz data 1917-1944. To było na zewnątrz budynku, natomiast wewnątrz, pośrodku, był korytarz, z którego po prawej

¹⁹ Wspomnienie Stanisława Łukasika, ps. „Jurek”, szer. AK, zam. Ołdaki, pow. Ciechanów – w posiadaniu autora.

stronie widać było łózka. Były bez pościeli, czyli gołe deski i podgłówki z desek. Dalej była kuchnia, gdzie zanosili wodę. Nie pozwalano im wchodzić dalej, bo za dużo „myszkowali”, tzn. próbowali zabrać ze sobą surowe ziemniaki, ale nie zawsze to się im udało. Innego dnia strażnicy kazali im rżnąć i rąbać drewno metrowej długości, które było składowane przy ich kuchni. I tak dzień za dniem.

Pewnego razu przejechał gazik, z którego wysiadł w kożuszku pułkownik. Podszedł do więźniów i pyta *Kakoj wy naród?* Odpowiedzieli – *Polaki!*, *Szto nie zamierzeli?* – pyta ponownie. Odpowiedzieli, że tak, ale on *niczewo, niczewo*.

Ich obuwanie było nieodpowiednie na wielkie mrozy. Byli obuci w kamaszkach, spodnie dali im watowe, rękawice jednopalcowe na wacie, które szyli polscy krawcy, otrzymali też czapki bolszewickie ze szpicem, kurtki zimowe najczęściej jeszcze z domu, kołnierze z owczej skórki, a w nich tysiące wesz. Kiedy wracali z pracy, pod barakiem jeden drugiemu rękawicą zgarniał je z kołnierza na śnieg. Na przykład S. Łukasik zrzucił wszystkie koledze, który nazywał się Józef Przylepa i pochodził z Józefinka i odwrotnie, on też świadczył przysługę koledze. J. Przylepa zmarł dwa tygodnie po powrocie do kraju. Stanisław Łukasik wspomina także, że kiedy szli nieraz do pracy, a z przeciwnej strony szedł oficer NKWD, to brygadziosta krzychał „uwaga bacznosc! na lewo patrz!”. Ten oficer w tym czasie salutował. Chodzili zawsze czwórkami. Nieraz, jak było łagodne powietrze, to śpiewali „rano, rano raniusieńko rano po rosie” itd. lub inne piosenki. Konwojenci nie zawsze byli bardzo rygorystyczni, zawsze mówili, że *skorej pajdziocie w damoj*, tak obiecywali. Później jednak już ich nie pytaliśmy, bo i tak nic by to nie dało.

W drugiej połowie stycznia przeniesiono S. Łukasika do warsztatu szewskiego na prośbę jego znajomego sierżanta Fiodorowa, który kazał mu przyjść i opuścić grupę „Podnos Wody”. Grupa ta nadal istniała i każdego dnia wykonywała swoją pracę woząc wodę, teraz już przy pomocy sanek.

Kolejny jeniec przeniesiony został z baraku nr 5 do baraku nr 2, którego komendantem był żołnierz AK Bandrowski²⁰, w połowie lipca 1945 r. był to Władysław Swarczewicz. Przydzielony został do 33 brygady pracującej na tzw. 103 szachcie (w budowie). Brygadą kierował Domański. Wraz z nim w 33 brygadzie byli jeszcze H. Jakubczyk (pracował na pompach), J. Owsianik, J. Regulski i Biata. Ci ostatni pochodzili z Wojcieszkowa. Stan brygady liczył przeciętnie od 25-30 osób, zmieniających się często z powodu ciężkich warunków pracy powodujących liczne choroby (zapalenia płuc itp.).

W 103 szachcie były drążone dwa otwory: główny sięgał już ok. 30 metrów w głąb ziemi oraz wentylacyjny, mający w tym czasie głębokość około 8 metrów.

Praca w kopalni prowadzona była na trzy zmiany przez 24 godziny. Najcięższe prace prowadzono w głównym otworze (prostokąt o pow. całkowitej 18 m²). Ze ścian otworu lała się zimna woda rozpryskując się na poszczególnych piętrach. Pracujący na dole, kopiając gliniasty urobek, ładowali go do specjalnych olbrzymich wiader (badzi) o pojemności 1m³, a następnie elektrycznym podnośnikiem wydobywany był na powierzchnię. Całą zmianę pracowano w zimnej wodzie, w zniszczonym obuwiu, moknąc.

W takich warunkach trudno było długo wytrzymać, często chorowali, a pracownicy byli ciągle wymieniani. Spływającą w dół wodę odpompowywały bez przerwy dwie duże pompy elektryczne. Wystarczyła chwila wyłączenia którejs z pomp, a woda błyskawicznie podnosiła się i zalewała pracujących. Najlepiej pracowało się na nocnej zmianie, kiedy to nadzorujący funkcjonariusze często spali w kantorku. W tym czasie więźniowie udawali, że pracują, wyciągając prawie puste pojemniki z tzw. urobkiem.

²⁰ Na podstawie relacji W. Swarczewicza (w obozie Zenon Adamski) – w posiadaniu autora.

Najgorszym z nadzorców był naczelnik tej kopalni, Tatar z pochodzenia. Zawsze poganiał pracujących, często wykrywał wszelkie uchybienia, a następnie bił więźniów. Nie było prawie dnia, aby któregoś nie pobił. Więźniowie poprzysięgli mu zemstę. Podczas którejś z nocnych zmian W. Swarcewicz zastępował Domańskiego (który w tym czasie był chory) i udało mu się „przyłapać” naczelnika jak zasnął w kantorku. Jeden z kolegów o nazwisku Jakubczyk po uzyskaniu sygnału, że Tatar śpi, spowodował zwarcie instalacji elektrycznej przez wbicie gwoźdźcia w przewód doprowadzający prąd do pomp, a uszkodzone miejsce zamaskował smarem. Nastąpiła awaria. Bezpieczników na w kopalni nie było, znajdowały się prawdopodobnie w pobliskiej elektrowni. Kiedy woda w otworze głównym podeszła do pomp, Swarcewicz krzykiem zawiadomił naczelnika, że światło zgasło i pompy stanęły. Pracujący w dole uciekli na powierzchnię po drabinach. Obudzony Tatar dobiegł do otworu głównego i wydał rozkaz podciągnięcia pomp w górę ręcznym kołowrotem, ale nie było już co wyciągać, bo pompy zostały zatopione.

W obozie ogłoszono alarm. Przyjechali prokuratorzy i żołnierze. Przeprowadzone śledztwo nie dało pozytywnych efektów. Uszkodzonego kabla nie znaleziono, a naczelnika za spanie i niedopilnowanie obowiązków zesłano do łagru.

Więźniowie wreszcie mogli odpocząć, a dotyczyło to wszystkich trzech brygad, łącznie ok. 100 więźniów. Nie odebrano im także dodatkowego przydziału chleba. Wykonywali w tym czasie prace porządkowe i przygotowawcze do ponownego uruchomienia kopalni. Wkrótce przywieziono nowe pompy i zaczęto stopniowo odpompowywać wodę z otworu głównego. Praca ta trwała dwa tygodnie.

Po odpompowaniu wody i wyciągnięcia rumowiska, jakie powstało, opuszczono windą sowieckiego brygadiera na dno kopalni. Ponieważ nie dawał żadnych sygnałów, w ślad za nim spuszczonego więźnia J. Kosteckiego, który również nie odezwał się. Okazało się, że obaj zatruli się gazem, który zebrał się w tunelach kopalni. Dopiero po zastosowaniu silnego nadmuchu powietrza można było wydstać zmarłych. J. Kosteci pochowany został w trumnie, na cmentarzu w pobliżu obozu.

Praca na tzw. 103 szachcie trwała jeszcze ponad miesiąc. W obozie zaczęto wkrótce przeprowadzać przegrupowania. Stopniowo wszelkie prace zaczęli przejmować jeńcy niemieccy. Polscy więźniowie mieli w tym czasie satysfakcję, że w tak tragicznych chwilach niewoli mogli odplacić się ciemniejszym przez sabotaż.

W drugiej połowie lutego 1945 r. część obozowiczów Jogły przeniesiona została do obozu miejskiego położonego bliżej Borowicz²¹.

Baraki-ziemianki w tym obozie były identyczne, jak w poprzednim i tak samo zawszone, ale tu przynajmniej było światło elektryczne, a więc więźniowie nie potrzebowali używać do oświetlenia łuczywa, jak czynili to w poprzednim obozie.

Z tego obozu zaczęto ich zatrudniać brygadami po dwadzieścia osób, pod ścisłym konwojem NKWD, do różnych prac fizycznych, jak np. do kopalni glinki ceramicznej, na tzw. *Ceramicznym Zawodzie* itp.

Wykonywane przez nich prace były przymusowe i bardzo wyczerpujące, a na dodatek głód, mróz i zaczynające się roztopy powodowały różne choroby i niemal stałe przeziębienia. Było to wynikiem braku odpowiedniej odzieży i obuwia. Trzeba przypomnieć, iż ubrani byli w różne tzw. sorty jenieckie, najczęściej niemieckie, a ich ubranie wcześniej zostało im zabrane (zrabowane) w trakcie rewizji obozowej.

Gdy ruszyły lody na płynącej w pobliżu rzece Mście, zorganizowano z dziewiętego baraku kilkanaście brygad i wysłano ich na tzw. lesospław. Praca polegała na tym,

²¹ *Ibidem*.

że trzeba było wydobywać łupki drewna długości (ok. 1 m), spływające z lodem w dół rzeki. Rzeka w tym miejscu została przegrodzona liną stalową, o którą zatrzymywało się drzewo.

Każda z brygad musiała wyrobić tzw. normę wynoszącą 3 m przestrzenne drewna na jednego więźnia, czyli przeciętnie 90 łupek drzewa. Ciężkie i mokre łupki należało przyciągnąć bosakiem do brzegu, następnie wydostać z wody, przenieść na wyznaczone przez nadzorcę sowieckiego miejsce i ułożyć w stosy o dwumetrowej wysokości. Praca przy wydobywaniu drewna była dla nich bardzo wyczerpująca, toteż początkowo raczej nie udawało im się wykonać wyznaczonej dla brygady normy, a która dawała możliwość uzyskania premii w postaci dodatkowej porcji kaszy. Każdego dnia po zakończonej pracy, nadzorujący zaznaczał wapnem ostatni rząd ułożonego drewna i obliczał wykonaną przez brygadę normę, która najczęściej wynosiła od 50 do 70%. Ponieważ nie udawało im się pełnej normy wykonać, niektórzy jeńcy W. Swarczewicz i M. Berger zaczęli zastanawiać się jak zmienić tę niekorzystną sytuację, a potem przystąpili do działania. Zdobyli w obozie trochę wapna, które zabrali w puszcze do jedzenia idąc na „lesospław”. Po rozdzieleniu zadań przez nadzorcę dla ich brygady, pomalowane poprzedniego dnia wapnem łupki drzewa obracali do środka w stojący już stos drzewa i polewali wodą tak, aby wyglądały jako świeżo wydobyte z wody. Do tego dokładali trochę nowo wyciągniętych łupek drzewa, pozorując w tym czasie, że cała brygada ciężko pracuje. W ten sposób po zakończeniu dnia pracy i po obmiarze zaczęli uzyskiwać 100% wykonanie normy, a przy tym uzyskali pochwałę nadzorcy sowieckiego i należny dodatkowy posiłek. Pracując teraz tą metodą przez kilka tygodni mogli poprawić swoją sytuację, ponieważ co kilka dni otrzymywali za wykonywanie normy po pół chochelki kaszy, co dla nich, ciągle głodujących, miało ogromne znaczenie.

Taką samą metodę pracy (jak się później dowiedzieli) stosowały również inne brygady pracujące na „lesospławie”. Która z brygad wpadła na ten pomysł pierwsza, nie było w tym przypadku istotne. Najważniejsze było to, że potrafili uspić czujność nadzoru i ułatwić sobie ciężką pracę. Prace na „lesospławie” zostały zakończone. Plany przewidywały wydobyć kilkuset metrów przestrzennych drewna w tym miejscu, co z codziennych raportów i ich zsumowania zostało zrealizowane, łupki drewna popłynęły w dół rzeki na inny punkt wydobycia.

Po kilku dniach od zakończenia robót na „lesospławie” w obozie przeprowadzono śledztwo. Wstrzymano więźniom dodatkowe posiłki. Wzywano brygadzystów i przepytывano jak wydobywali drewno i kto robił obmiary. Wszystko dlatego, że – jak się okazało po ostatecznym obmiarze – zabrakło na placu wiele setek metrów kwadratowych drzewa. Ponieważ obmiary wydobytego z rzeki drewna, jak i stały nadzór, należał do sowieckiego personelu, nie można było udowodnić więźniom, że to oni przeprowadzili sabotaż. Na tym śledztwo zostało zakończone i więcej do tego rodzaju robót więźniowie nie byli już kierowani.

Łącznie w Zespole Łagrów nr 270 w rejonie Borowicz, gdzie największym był obóz Jogła, uwięzionych zostało: od listopada 1944 r. do marca 1946 r. – 4893 żołnierzy; w czerwcu 1947 r. skierowano z łagru nr 0,331 Kutaisi – 472 osoby; w lipcu 1947 r. z łagru nr 454 obwodu riaziańskiego – 423 osoby oraz 7 osób bez przydziału. Ogółem przebywało tam 5795 osób.

ZENON KACHNICZ
Koszalin

ABSTRACT

The article addresses the deportations of soldiers of the Polish Home Army, who were transported to the labor camps of the NKVD Nr 270 in the region of Borowicze, Novgorod County in November and December 1944 and returned to Poland in the spring of 1946.

Aggressive behavior of the escorts, acute shortage of food and especially water, rationed in very sparse quantities during many days of the journey, lack of any information – such were the physical and mental oppressions which taken together were a foretoken of what might be expected at the unknown place of destination. This destination turned out to be the Jogta labor camp.

A majority of the internees were Home Army privates from the Lublin area (the biggest groups came from the counties of Radzyn, Lukow, Krasnystaw, Lubartow and the city of Lublin), Eastern-Warsaw and Rzeszow.

The prisoners were detained in inhuman and climatically adverse conditions, in overcrowded barracks, received starvation food rations and were forced to do exhausting physical labor; there was a lack of work clothes and adequate shoes, and the sanitary conditions were fatal. Deaths were frequent also due to diseases such as: dystrophy, pneumonia, dysentery, lung tuberculosis and intestine inflammation.

After their release from the camp and return to Poland, many of those Home Army soldiers experienced repressions at the hands of the „people's authority” which was establishing itself in power. They were persecuted and treated as second rate citizens stigmatized with the „Home Army brand”.

NIEMIECKA POLITYKA WYSIEDLANIA POLAKÓW ORAZ OSADNICTWA NIEMCÓW W LATACH 1939-1945 W OKRĘGU GDAŃSK-PRUSY ZACHODNIE, POWIAT ŚWIECKI

MNIEJSZOŚĆ NIEMIECKA NA POMORZU GDAŃSKIM W LATACH 1920-1939

Obecny powiat Świecie przeżywał w ciągu dziejów nieustające zmiany w przynależności państwowej i administracyjnej. W obecnym kształcie powstał dopiero w 1999 r. i należy do województwa kujawsko-pomorskiego. W Bydgoszczy (przed 1920 r. Bromberg) ma dziś swą siedzibę wojewoda, zaś w Toruniu – Sejmik Samorządowy. Do 1773 r. obszar późniejszego powiatu należał do Królestwa Polski (ściślej do Rzeczypospolitej Obojga Narodów), potem do Królestwa Prus lub Rzeszy Niemieckiej. Wskutek postanowień Traktatu Wersalskiego z 1919 r., spora część terytorium byłej prowincji Prusy Zachodnie (*Westpreussen*), w tym powiatu świeckiego, została przyłączona do powstałej Republiki Polskiej. Wraz z początkiem niemieckiej okupacji podczas II wojny światowej podporządkowano powiat Świecie (Schwetz) nowo utworzonemu Okręgowi Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie (*Reichsgau Danzig-Westpreussen*), który istniał do początku 1945 r. Następnie powiat ten powrócił ponownie do Polski, lecz w 1975 r. został – podobnie jak wszystkie powiaty w Polsce – rozwiązany. Od 1 stycznia 1999 r. znów powołano starostwa i powiaty na wzór II Rzeczypospolitej Polskiej.

Obszar powiatu świeckiego był już od czasów późnego średniowiecza aż do 1945 r. terenem wspólnego zamieszkiwania ludności polskiej i niemieckiej. Aż do końca XVIII w. istniały wsie zamieszkiwane wyłącznie przez ludność polską lub też niemiecką, później ten rozdział zanikał. Po wprowadzeniu reformacji w XVI w. i następującej zaraz po tym rekatolizacji, obydwie te grupy narodowościowe z zasady były oddzielone wyznaniowo: polscy mieszkańcy to na ogół katolicy, a Niemcy to ewangelicy.